

ROZPRAWA DRUGA: „Wina”, „Nieczyste Sumienie” i tym podobne.

I.

Wyhodować zwierzę, które może p r z y r z e k a ć – czy nie to właśnie jest owym paradoksalnym zadaniem, które postawiła sobie natura w stosunku do człowieka? Czy nie to jest właściwym problemem człowieka?... Że problemat ten jest do pewnego wysokiego stopnia rozwiązany, to dziwić musi tem bardziej tego, kto przeciwdziałającej sile, z a p o m i n a w c z o ś ć i, dostateczne przypisuje znaczenie. Zapominawczość nie jest jedynie jakąś *vis inertiae*, jak ludzie powierzchowni sądzą, jest ona raczej czynną, w najściślejszym znaczeniu pozytywną zdolnością hamującą, której przypisać należy, że wszystko to, co przeżywamy, doświadczamy, wchłaniamy, uświadamia nam się w stanie trawienia (możnaby go nazwać »wdechawianiem«) nie więcej, niż ów cały tysiącokraki proces, w jakim odbywa się nasze cielesne odżywianie, tak zwane »wcielanie«. Chwilowo zamknąć drzwi i okna świadomości; nie być napastowanym przez wrzawę i walkę, wśród której podziemny świat naszych służebnych organów pracuje dla siebie i przeciw sobie wzajem; nieco ciszy, pewna *tabula rasa* świadomości, aby znów znalazło się miejsce dla czegoś nowego, przede wszystkim dla dostojniejszych funkcji i funkcjonariuszów, dla rządzenia,

przewidywania, przeznaczania z góry (bo nasz organizm urządzony jest oligarchicznie) - oto korzyść, jak się rzekło, czynnej zapominawczości, odźwiernej niejako, strażniczki duchowego ładu, spokoju, etykiety. I tu natychmiast rozważyć należy, jakby dalece nie było żadnego szczęścia, żadnego wesela, żadnej nadziei, żadnej dumy, żadnego t e r a z - bez zapominawczości. Człowiek, w którym ten hamujący aparat uległ uszkodzeniu i źle działa, podobny jest do dyspeptyka (a nietylko podobny) - który nie może się z niczem »uporać«... Właśnie to z konieczności zapominawcze zwierzę, w którym zapomnienie stanowi siłę, formę t ę g i e g o zdrowia, przyswoiło sobie zdolność przeciwną, pamięć, z której pomocą zawiesza w pewnych wypadkach zapominawczość w jej czynności, - w tych mianowicie wypadkach, kiedy się ma przyrzekać: nie jest to więc wcale tylko bierna niemożność pozbycia się raz wyrytego wrażenia, nietylko niestrawność raz w zastaw danego słowa, z którym nie można się uporać, lecz czynne n i e c h c e n i e pozbycia się, przedłużane chcenie raz chcianego, właściwa p a m i ę ć w o l i: tak, że między pierwotne »chcę«, »uczynię«, a właściwe wyładowanie woli, jej a k t, można śmiało wstawić świat nowych rzeczy, szczegółów, nawet aktów woli, bez obawy, że długi ten łańcuch woli pęknie. Lecz czegoż to wszystko wymaga! Jakżeż to człowiek, by w ten sposób rozporządzać swoją przyszłością, musiał wyuczyć się odróżniać zdarzenia konieczne od przypadkowych, wiązać myśli przyczynowo, na to, co odległe, patrzeć jak na obecne i umieć je przewidywać, oznaczać pewnie cel i środki ku niemu, wogóle umieć liczyć, obliczać! Jakże człowiek wprzód sam musiał się stać o b l i c z a l n y m, p r a w i d ł o w y m, podległym k o n i e c z n o ś c i, by móc obliczać też siebie samego w stosunku do swego własnego wyobrażenia, aż wkońcu w sposób, w jaki to czyni przyrzekający, zaręczyć za siebie, j a k o z a p r z y s z ł o ś ć!

2.

- Oto są właśnie długie dzieje powstania o d p o w i e d z i a l n o ś c i. Zadanie wyhodowania zwierzęcia, które śmie przyrzekać - jak wam to już jasne zapewne - zawiera w sobie, jako warunek i przygotowanie, zadanie bliższe: u c z y n i ć wprzód człowieka do pewnego stopnia podległym konieczności, jednolitym, równym wśród równych, prawidłowym i przeto obliczalnym. Olbrzymia praca tego, co zwę »obyczajnością obyczaju« (por. Jutrzenka str. 15, nast. 21, 24) - właściwa praca człowieka nad samym sobą w najdłuższym okresie rodzaju ludzkiego, jego cała p r z e d h i s t o r y c z n a praca, ilekolwiekby w niej tkwiło srogości, tyraństwa, tępoty i idiotyzmu, ma w tem swe głębokie znaczenie, swe wielkie usprawiedliwienie, że obyczajność obyczaju i społeczny kaftan bezpieczeństwa u c z y n i ł y człowieka rzeczywiście obliczalnym. Stańmy natomiast na końcu olbrzymiego procesu, tam gdzie dojrzewają ostatecznie owoce drzewa, gdzie społeczeństwo i obyczajny jego obyczaj wyjawiają nareszcie, d o c z e g o były tylko środkiem: a znajdziemy, jako najdojrzalszy na tem drzewie owoc samowładnei n d y w i d u u m, samemu sobie tylko równe, które znowu uwolniło się od obyczajności obyczaju, samorządne, nadobyczajne indywiduum (bo »samorządny« i »obyczajny« wykluczają się wzajem), słowem człowieka z własną, niezawisłą, długotrwałą wolą, który ś m i e p r z y r z e k a ć - a w nim dumną, w każdym mięśniu drgającą świadomość tego, co tu ostatecznie zdobyte zostało i w niego wcielone, właściwą świadomość mocy i wolności, uczucie dopełnienia człowieka wogóle. Ten wyzwolony, który rzeczywiście ś m i e przyrzekać, ten pan w o l n e j woli, ten samowładca, jakżeby nie miał wiedzieć, jaką tem samem osiągnął wyższość nad wszystkim, czemu nie wolno przyrzekać i poręczać za siebie, ile wzbudza on zaufania, obawy, czci - »zasługuje« na wszystko troje - i jak mu, z tem panowaniem nad sobą, dane jest koniecznie w dłoń i panowanie nad okolicznościami, nad przyrodą i wszelkiem ukróconem w swej woli i nie dającym

poręki stworzeniem? Człowiek »wolny«, posiadacz długotrwałej i niezłomnej woli, ma w tem posiadaniu i swoją m i a r ę w a r t o ś c i: ze swego patrząc stanowiska na innych, czci lub gardzi; i z tą samą koniecznością, z jaką czci sobie równych, silnych, dających porękę (którym w o l n o przyrzekać), – więc każdego, który przyrzeka, jak samowładca, niechętnie, rzadko, powoli, który skąpi zaufania, który w y r ó ż n i a, darząc zaufaniem, który daje swe słowo, jako coś, na co się spuścić można, bo czuje się dość silny, by dotrzymać go nawet wbrew złym przypadkom, nawet »wbrew losowi« -: z tą samą koniecznością będzie miał w pogotowiu kopnięcie dla głodnych psów gończych, które przyrzekają, choć nie śmieją, i różgę dla łgarza, który łamie swe słowo już w chwili, gdy je ma na języku. Dumna świadomość nadzwyczajnego przywileju o d p o w i e d z i a l n o ś c i, świadomość tej rzadkiej wolności, tej mocy nad sobą samym i losem, wsiąkła w niego, w głąb jego najskrytszą i stała się instynktem, instynktem dominującym. A jakże nazwie on ten instynkt dominujący, przypuściwszy, że uczuje w sobie potrzebę słowa na to? Ależ nie ulega wątpliwości, że ten samowładny człowiek zwie go swem s u m i e n i e m...

3.

- Swem sumieniem?... Można odgadnąć z góry, że to pojęcie »sumienie«, które spotykamy tu w jego najwyższym, prawie podziw budzącym ukształtowaniu, ma za sobą długie dzieje i przemiany. Śmieć ręczyć za siebie i z dumą, a więc ś m i e ć r z e c »tak« o sobie także – to, jak się rzekło, dojrzały owoc, lecz i p ó ź n y owoc. Jakże długo musiał ten owoc w i s i e ć na drzewie, cierpki i kwaśny! A przez czas jeszcze dłuższy wcale nie było nic widać z tego owocu, niktby nie śmiał był go obiecywać, jakkolwiek wszystko w tem drzewie przygotowane było i właśnie do wydania go dążyło – »W jaki sposób stwarza się człowiekowi-zwierzęciu pamięć? Jak w ten częścią tępy, częścią bezmyślny rozum chwili, w tę wcieloną

zapominawczość wtłacza się coś tak, aby pozostało obecne?«... Tego prastarego problemu, jak to sobie wyobrazić można, nie rozwiązano wcale subtelnymi odpowiedziami i środkami; może nawet niema nic straszliwszego i niesamowitszego w całych przeddziejach człowieka nad jego m n e m o t e c h n i k ę.»Wypala się ogniem, co ma zostać w pamięci: tylko to, co nie przestaje b o l e ć, zostaje w pamięci« - oto naczelną zasadą najstarszej (niestety i najdłuższej trwającej) psychologii na ziemi. Chciałoby się nawet rzec, że gdziekolwiek dziś jeszcze na ziemi istnieje uroczystość, powaga, tajemnica, posępne barwy w życiu ludzi i ludów, wszędzie tam o d b i j a s i ę jeszcze coś z owej straszliwości, z jaką ongiś wszędzie na ziemi przyrzekano, poręczano, ślubowano: przeszłość, najdłuższa, najgłębsza, najtwardsza przeszłość, owiewa nas i wzbiera w nas, ilekroć stajemy się »poważni«. Nie obeszło się nigdy bez krwi, bez mąk, bez ofiar, gdy człowiek widział potrzebę stworzenia sobie pamięci. Najstraszliwsze ofiary i zastawy (do których należały ofiary z pierworodów), odrażające okaleczenia (na przykład kastracje), najokrutniejsze formy rytualne lub kultury religijne (a wszystkie religie są w najgłębszej istocie systemami okrucieństw) - wszystko to ma swe źródło w owym instynkcie, który w bólu odgadł najmożliwszy pomocniczy środek mnemoniczny. I w pewnym sensie zaliczyć tu trzeba całą ascetykę: pewna ilość idei ma pozostać niezatartą, wszechobecną, niezapominalną, »ustaloną«, w celu zahipnotyzowania całego nerwowego i intelektualnego systemu temi »*idees fixes*«, a ascetyczne procedury i formy życiowe są środkiem do tego, by owe idee uwolnić od współzawodnictwa wszelkich innych idei, by je »niezapominalnymi« uczynić. Im gorszy był »stan pamięci«: ludzkości, tem straszliwszy zawsze widok jej zwyczajów: srogość ustaw karnych daje w szczególności miarę tego, ile trudów kosztowało osiągnięcie zwycięstwa nad zapominawczością i u p r z y t o m n i e n i e na stałe tym niewolnikom chwilowego uczucia i żądy

kilku prymitywnych wymogów społecznego współżycia. My Niemcy nie uważamy się stanowczo za jakiś szczególnie okrutny i twardego serca naród, jeszcze mniej za szczególnie płochy i żyjący z dnia na dzień; lecz wystarczy przypatrzeć się tylko naszemu dawnemu postępowaniu karnemu, aby się dopatrzeć, ile trudu kosztuje na ziemi wyhodowanie »narodu myślicieli« (to znaczy: t e g o narodu Europy, wśród którego i dziś jeszcze znaleźć można *maximum* zaufania, powagi, braku smaku i rzeczowości i który z temi właściwościami ma prawo do wyhodowania wszelkich rodzajów mandarynów Europy). Ci Niemcy straszliwymi środkami stworzyli sobie pamięć, aby stać się panami swych gminnych podstawowych instynktów i ich brutalnego nieokrzesań: przypomnijmy sobie dawne niemieckie kary, na przykład kamienowanie (- już podanie ciska kamień młyński na głowę winnego), łamanie kołem (najsłynniejszy wynalazek i specjalność niemieckiego geniuszu w państwie kary!), wbijanie na pal, rozdzieranie i tratowanie końmi (»ćwiartowanie«), gotowanie zbrodniarza w oliwie lub winie (jeszcze w czternastym i piętnastym stuleciu), ulubione łupienie ze skóry (»darcie pasów«), wykrawanie mięsa z piersi; zarówno też smarowanie złoczyńcy miodem i rzucanie na pastwę muchom w skwarze słonecznym. Z pomocą takich obrazów i przykładów narzuci się wkońcu pamięci pięć, sześć takich »nie chcę«, co do których dało się p r z y r z e c z e n i e, by żyć wśród korzyści, jakie daje społeczność. I prawdziwie! z pomocą takiej pamięci doszło się ostatecznie do »rozumu «! - Ach! rozum, powaga, panowanie nad uczuciami, cała ta posepna sprawa, zwana rozważą, wszystkie te przywileje i błyskotki człowieka: jakże drogo trzeba je było opłacić! Ileż krwi i zgrozy leży na dnie wszystkich »dobrych rzeczy«!...

4.

- Lecz jakże przyszła na świat ta druga »posepna sprawa«, świadomość winy, to całe »nieczyste sumienie«? - I oto powracamy do

naszych genealogów moralności. Jeszcze raz powtarzam – lub nie powiedziałemże jeszcze tego wcale? – nie są nic warci. Posiadać pięć piędzi długie, własne, jedynie »nowoczesne« doświadczenie; nie mieć żadnej wiedzy, żadnej chęci wiedzy rzeczy przeszłych, jeszcze mniej instynktu historycznego, tu właśnie potrzebnego »drugiego wzroku« – a jednak uprawiać dzieje morału: to musi się wedle wszelkiej słuszności skończyć na wynikach, które do prawdy nietylko w kruchym pozostają stosunku. Czyż tym dotychczasowym genealogom moralności śniło się choćby tylko w przybliżeniu, że naprzykład owo moralne, zasadnicze pojęcie »winy« wzięło początek swój z bardzo materyalnego pojęcia »być winnym, dłużnym«? Lub że kara jako o d p ł a t a rozwinęła – się zupełnie na uboczu od wszelkiego założenia wolności i niewolności woli? – i to do tego stopnia, że owszem trzeba zawsze dopiero w y s o k i e g o szczebla ucłowieczenia, zanim zwierzę »człowiek« zacznie tworzyć owe o wiele prymitywniejsze rozróżnienia »umyślnie«, »niedbale«, »przypadkowo«, »poczytalnie«, wraz z ich przeciwieństwami i uwzględniać je przy wymiarze kary. Owa dziś tak tania i pozornie tak naturalna, tak nieunikniona myśl, która może nawet dla objaśnienia sposobu, w jaki powstało na ziemi poczucie sprawiedliwości, musiała podsunąć mniemanie »zbrodniarz zasługuje na karę, p o n i e w a ż b y mógł był postąpić inaczej«: jest faktycznie nadzwyczaj późno osiągniętą, nawet wyrafinowaną formą ludzkiego sądu i wnioskowania; kto dopatruje się jej w początkach, bierze się do psychologii dawniejszej ludzkości niezgrabnymi palcami. Przez najdłuższy okres dziejów ludzkich wcale n i e karano d l a t e g o, p o n i e w a ż czyniono złoczyńcę za czyn jego odpowiedzialnym, więc n i e z powodu założenia, że winny ma być ukarany, lecz raczej, jak dziś jeszcze rodzice karzą dzieci, z gniewu za poniesioną szkodę, gniewu, szukającego sobie upustu na szkodniku. Gniew ten jednak trzyma na wodzy i modyfikuje myśl, że każda szkoda może mieć w czemciś r ó

w n o w a ż n i k i rzeczywiście może być powetowana, choćby samym b o l e m szkodnika. – Skąd ta prastara, głęboko wkorzeniona, może teraz już nie dająca się wytepić idea wzięła moc swoją, idea równoważności szkody i bólu? Napomknąłem już coś o tem: w stosunku umownym w i e r z y c i e l a i d ł u ż n i k a, tak starym, jak istnienie wogóle »osób prawnych« i wskazującym znowu ze swej strony na podstawowe formy kupna, sprzedaży, wymiany, kramarstwa.

5.

Uprzytomnienie sobie tych stosunków umownych jużci budzi, jak po poprzedniej uwadze z góry tego oczekiwać można, niejedno podejrzenie i opór przeciw dawniejszej ludzkości, która je stworzyła lub na nie pozwalała. Tu właśnie p r z y r z e k a s i ę; tu właśnie chodzi o to, by s t w o r z y ć przyrzekającemu pamięć; tu właśnie, tak śmiemy podejrzewać, oczekiwać można srogości, okrucieństwa, męczarni. Dłużnik, chcąc wzbudzić zaufanie w swe przyrzeczenie zwrotu, chcąc zaręczyć za powagę i świętość swego przyrzeczenia, własnemu sumieniu swemu przykazać zwrot jako obowiązek, zobowiązanie, daje mocą umowy wierzycielowi w zastaw, na wypadek, jeżeli nie zapłaci, coś co jeszcze nadto »posiada«, czem nadto może rozporządzać, naprzykład swe ciało lub swą żonę, lub swą wolność lub też swe życie (lub wśród pewnych określonych religijnych warunków, nawet swą szczęśliwość, swe zbawienie duszne, wkońcu nawet swój spokój w grobie; naprzykład w Egipcie, gdzie trup dłużnika nawet i w grobie nie mógł znaleźć spokoju przed wierzycielem, a właśnie u Egipcyan miał jużci spokój ten pewne swoje znaczenie). Wierzyciel mógł bowiem ciału dłużnika zadawać wszelkie rodzaje hańby i męczarni, naprzykład wyciąć z niego tyle, ile odpowiadało wielkości długu: – bardzo wczesnie i wszędzie istniały z tego punktu widzenia dokładne, po części przerażająco drobiazgowo oszacowania, p r a w e m ustalone oszacowania

poszczególnych członków i miejsc na c i e l e. Uważam to już za postęp, za dowód wolniejszego, o szerszych poglądach, r z y m s k i e g o pojęcia prawa, jeśli rzymskie prawodawstwo Dwunastu Tablic wyrokuje, że jest rzeczą obojętną, czy więcej lub mniej wierzyciel zetnie w takim wypadku, »si plus minusve secuerunt, ne fraude esto«. Rozjaśnijmy sobie logikę całej tej formy wyrównania: jest ona dość dziwna. Równoważnik dany jest w tem, że zamiast zysku pokrywającego wprost szkodę (więc zamiast wyrównania w złocie, ziemi, posiadłościach wszelkiego rodzaju) przyznana jest wierzycielowi pewnego rodzaju p r z y j e m n o ś ć jako odpłata i wyrównanie, przyjemność, że może bez skrupułu wyrzucić moc swoją na bezsilnym, przyjemność «*de faire le mal pour le plaisir de le faire*», rozkosz używania przemocy. Rozkosz ta w tem większej jest cenie, im głębiej i niżej stoi wierzyciel w porządku społecznym i im łatwiej zdawać mu się ona może najwyborniejszym kąskiem, ba, przedsmakiem wyższego stopnia społecznego. Przez »karę«, wywartą na dłużniku, uczestniczy w p r a w i e p a ń s k i e m: wreszcie i on osiąga raz podnoszące uczucie, że śmie pogardzać i znęcać się nad jakąś istotą, jako nad czemś, co »pod nim« - lub przynajmniej w razie, jeśli moc karania, wymiar kary przeszły już na »zwierzchność«, w i d z i e ć, jak pogardzają i znęcają się nad nią. Wyrównanie polega więc na przekazie i prawie do okrucieństwa. -

6.

W t e j więc dziedzinie, w prawie o zobowiązaniach, jest ognisko powstania świata pojęć moralnych: »wina«, »sumienie«, »obowiązek«, »świętość obowiązku«. - Początek jego, jak początek wszystkiego wielkiego na ziemi, był obficie i długo zlewany krwią. I czyżby nie należało dodać, że świat ten w gruncie rzeczy nigdy już nie postradał całkiem zapachu krwi i katowni? (nawet w starym Kancie nie: imperatyw kategoriyczny czuć okrucieństwem...) Tu również zadzierzgnęło się nasamprzód to tajemnicze i może

nierozwiązalne zahaczenie pojęć »winy i cierpienia«. Jeszcze raz pytam: o ile cierpienie może być wyrównaniem »długu«? O tyle, o ile z a d a w a n i e cierpienia sprawiało w najwyższym stopniu przyjemność, o ile poszkodowany wzamian za uszczerbek wraz z przykrością z powodu uszczerbku, nabywał nadzwyczajną odpłatną rozkosz: m o ż n o ś ć z a d a w a n i a cierpienia. Prawdziwe ś w i ę t o, coś, co, jak rzeczono, w tem wyższej było cenie, i m bardziej nie przystawało do stopnia i społecznego stanowiska wierzącego. To wszystko przypuszczalnie: bo trudno jest sięgnąć dna takich podziemnych rzeczy, nie mówiąc, że jest boleśnie; a kto tu wetknie niezgrabnie pojęcie »zemsty«, nie tylko wniknięcie sobie utrudni, lecz i zaciemni zamiast wyjaśnić (- zemsta sama prowadzi przecie do takiego samego problemu: »jakże zadawanie cierpienia może być zadośćuczynieniem?^. Zdaje mi się, że sprzeciwia się delikatności, bardziej jeszcze świętoszkostwu oswojonych zwierząt domowych (to znaczy ludzi współczesnych, to znaczy nas) przedstawić sobie w całej pełni, do jakiego stopnia o k r u c i e ń s t w o tworzyło wielką radość odświętną dawniejszej ludzkości, do jakiego stopnia jest składnikiem i przymieszką prawie każdej ich radości; jak naiwnie z drugiej strony, jak niewinnie występuje ich potrzeba okrucieństwa, jak zasadniczo uważają właśnie »bezinteresowną złość« (lub, mówiąc ze Spinozą, *sympathia malevolens*) z a n o r m a l n ą właściwość człowieka -: zatem za coś, czemu sumienie serdecznie p r z y t a k u j e! Głębsze oko doszukałoby się może i w życiu dzisiejszem niemało tej najstarszej i najgłębszej radości odświętnej człowieka; w »Poza dobrem i złem« na str. 127 i nast. (przedtem już w »Jutrzence« na str. 25, 76, 110 i nast.) wskazałem przezornym palcem na coraz bardziej rosnące przeduchawianie i »przebóstwianie« okrucieństwa, które ciągnie się przez całe dzieje wyższej kultury (i jeżeli się na nią patrzy w pewnym znaczeniu, składa się na nią). W każdym razie nie zbyt to jeszcze dawno, gdy nie umiano sobie wyobrazić książęcego

wesela i święta ludowego w większym stylu bez egzekucji, tortur lub jakiegoś *autodafe*, tak samo żadnego dostojnego domu bez istot, na którychby nie można wywierać swej złości i dopuszczać się okrutnych igraszek (- należy sobie przypomnieć choćby Don Kichota na dworze księżnej: czytamy dziś całego Don Kichota z gorzkim na języku posmakiem, prawie z udręką, i bylibyśmy z tego powodu dziwem i zagadką dla jego twórcy i tegoż współczesników - oni czytali go z najczystszym sumieniem, jako najweselszą z ksiązek, zaśmiewali się nad nim prawie na śmierć). Przypatrywanie się cierpieniu sprawia przyjemność, zadawanie cierpienia jeszcze większą - jest to zdanie srogie, lecz stare, potężne, ludzkie - arcyłudzkie zdanie, któreby zresztą już mały może były podpisały: bo mówią, że zapowiadają już dostatecznie człowieka wymyślaniami dziwacznych okrucieństw i są w tem jakby »przygrywką« do niego. Bez okrucieństwa niema uroczystości: tak uczą najstarsze, najdłuższe dzieje ludzkie - a i w karze jest tyle u r o c z y s t e g o! -

7.

- Mówiąc nawiasem, nie mam wcale zamiaru, myślami temi napędzać pesymistom naszym świeżą wodę na ich rozstrojone skrzypiące młyny, zniechęcone do życia, przeciwnie, niechaj zaznaczę wyraźnie, i że wówczas, gdy ludzkość nie wstydziała się jeszcze swych okrucieństw, życie pogodniejsze było na ziemi, niż teraz, gdy istnieją pesymiści. Sposepnienie nieba nad człowiekiem wzmagало się zawsze w miarę, jak rosło w człowieku wstydzenie się c z ł o w i e k a. Znużone, pesymistyczne spojrzenie, nieufność ku zagadce życia, lodowe »nie« wstrętu do życia - to nie są cechy n a j g o r s z e g o okresu rodzaju ludzkiego: wychodzą one raczej na światło dzienne w postaci roślin bagiennych, któremi są, dopiero gdy się zjawi bagno, do którego należą, - mam na myśli chorobliwe przeczulenie i przemoralnienie, z których powodu zwierz »człowiek« ostatecznie uczy się wstydzic wszystkich swych instynktów. Na drodze do

»anioła« (aby twardszego nie użyć tu słowa) wyhodował sobie człowiek ów zepsuty żołądek i ów obłożony język, z których powodu nie tylko wstrętną mu się stała radość i niewinność zwierzęcia, lecz i życie samo pełnem niesmaku – tak, że czasem zatyka nos przed samym sobą i za papieżem Innocentym Trzecim, pełen nagany, sporządza katalog swoich obrzydliwości (»nieczyste spółnienie, wstrętne odżywianie w łonie matki, ohyda tworzywa, z którego się człowiek rozwija, okropny smród, wydzielanie śliny, moczu i kału«). Dzisiaj, gdy cierpienie zmuszone jest występować zawsze, jako pierwszy z argumentów p r z e c i w istnieniu, jako najgorszy jego znak pytania, dobrze jest przypomnieć sobie czasy, kiedy wyrokowano odwrotnie, bo nie umiano obejść się bez z a d a w a n i a cierpienia i widziano w niem czar pierwszorzędnny, właściwą przynętę uwodną ku życiu. Może wówczas – aby pocieszyć przeczuleńców – ból nie bolał tak jeszcze, jak dziś; przynajmniej wniosek ten będzie mógł wyciągnąć lekarz, który leczył Murzynów (jako przedstawicieli przeddziejowego człowieka) w ciężkich wypadkach wewnętrznego zapalenia, doprowadzających najlepiej nawet uorganizowanego Europejczyka prawie do rozpacz; – na Murzynów nie działają one tak. (Krzywa ludzkiej zdolności cierpienia zdaje się rzeczywiście niezwykle i prawie nagle opadać, skoro pozostawimy za sobą wyższe dziesięć tysięcy lub dziesięć milionów, należące do nadkultury; a ja co do siebie nie wątpię, że w porównaniu z jedną nocą bólu jednej jedynej historycznej wykształconej samicy, cierpienia wszystkich razem zwierząt, które dotąd w celu naukowych odpowiedzi wypytywano nożem, nie wchodzi poprostu w rachubę). Może nawet wolno przypuścić możliwość, że i owa uciecha z okrucieństwa właściwie nie koniecznie wymrzeć musiała: potrzebowała tylko o tyle, o ile bardziej ból dzisiaj boli, pewnego wydelikacenia i wysubtelnienia, to jest musiała wystąpić w przeszczepieniu na grunt wyobrażeniowy i duchowy, i ustrojona samemi tak niewinnemi

mianami, by nie wzbudzić nawet w najczulszym hipokrytycznym sumieniu żadnego podejrzenia («litość tragiczna» jest takim mianem; inne brzmi *»les nostalgies de la croix«*). Co właściwie oburza przeciw cierpieniu, to nie cierpienie samo w sobie, lecz niedorzeczność cierpienia: atoli ani dla chrześcijanina, który wmówił w cierpienie całą tajemną maszyneryę zbawienia, ani dla naiwnego człowieka czasów dawniejszych, który umiał sobie wyłożyć wszelkie cierpienie z myślą o widzach i zadających cierpienie, nie istniało wogóle cierpienie n i e d o r z e c z n e. Aby móc usunąć ze świata i uczciwie zanegować utajone, niewykryte, bezświadkowe cierpienie, było się wówczas prawie zmuszonym wynaleźć bogów i duchów pośrednich wszelkiej wyży i głębi, krótko, coś, co i w ukryciu unosi się nad nami, co i w ciemności widzi i nie daje żadnemu zajmującemu bolesnemu widowisku ujść swej uwadze. Z pomocą takich to wynalazków znało się wówczas życie na sztuczkach, na których zawsze się znało, usprawiedliwienia siebie samego, usprawiedliwienia swego zła; terazby potrzebowało może do tego celu innych pomocniczych wynalazków, (naprzykład, życie jako zagadka, życie jako problemat poznania). »Usprawiedliwione jest każde zło, którego widokiem Bóg się buduje«: tak brzmiała przeddziejowa logika uczucia – i zaprawdę, czy tylko przeddziejowa? Bogowie pojęci jako miłośnicy o k r u t n y c h widowisk – och, jak bardzo to prastare wyobrażenie sięga nawet jeszcze w nasze europejskie ucłowieczenie! należałoby się zastanowić nad tem może z Kalwinem i z Lutrem. W każdym razie pewna jest, że jeszcze G r e c y nie umieli bogom swoim przyjemniejszej przydać do szczęścia przyprawy nad radowanie się z okrucieństwa. Jakiemiż, sądzicie, oczami kazał Homer bogom swoim spoglądać na losy człowiecze? Jakież w gruncie rzeczy ostateczne miały znaczenie wojny trojańskie i tym podobne tragiczne straszliwości? Nie ulega zgoła wątpliwości: uważał je za ś w i ą t e c z n e z a b a w y dla bogów: a, o ile poeta

jest pod tym względem bardziej, niż inni ludzie, stworzony »na podobieństwo boskie«, także za świąteczne zabawy dla poetów... Nie inaczej potem jeszcze greccy filozofowie moralności pojmowali oczy boga, spoglądające na zapasy moralne, na heroizm i samoudrękę cnotliwych: »Herakles obowiązku« znajdował się na scenie i czuł się też na niej; cnota bez świadków była dla tego narodu aktorów czemś nie do pomyslenia. Nie uczynionoż owego tak zuchwałego, tak fatalnego filozoficznego wynalazku, który wtedy po raz pierwszy dla Europy zrobiono, wynalazku »wolnej woli«, bezwzględnej spontaniczności człowieka w złem i dobrem, przedewszystkiem po to, by stworzyć sobie prawo do wyobrażenia, że zainteresowanie się bogów człowiekiem, cnotą człowieczą, w y c z e r p a ć s i ę n i g d y n i e m o ż e? Na ziemskiej tej scenie nie miało nigdy braknąć prawdziwej nowości, prawdziwie niesłychanych napięć, zawikłań, katastrof: świat zgoła deterministycznie pojęty byłby dla bogów do odgadnięcia i wskutek tego znużyłby ich wkrótce, – dostateczny powód dla tych p r z y j a c i ó ł b o g ó w, filozofów, by bogom swym takiego deterministycznego nie przypisywać świata! Cała ludzkość starożytna pełna jest delikatnych względów »dla widza«, jako świat zasadniczo publiczny, zasadniczo naoczny, który nie umiał pomyśleć sobie szczęścia bez widowisk i uroczystości. – A, jak się już rzekło, i wielka k a r a ma w sobie tyle uroczystego!...

8.

Poczucie winy, zobowiązania osobistego – by podjąć nić naszego badania – wywodzi, jak widzieliśmy, początek swój z najstarszego i najpierwotniejszego, jaki istnieje, stosunku osób, stosunku kupca i sprzedawcy, wierzyciela i dłużnika: tutaj występowała po raz pierwszy osoba przeciw osobie, tu po raz pierwszy m i e r z y ł a s i ę osoba osobą. Nie odnaleziono jeszcze tak niskiego stopnia cywilizacji, gdzieby śladów tego stosunku nie dało się już zauważyć. Stanowią ceny, odmierzać wartości, wymyślać równoważniki,

przeprowadzać zamianę – wszystko to w takim stopniu zajmowało najpierwotniejsze myślenie człowieka, że w pewnym znaczeniu było s a m e m m y ś l e n i e m: tu wyhodował się najstarszy rodzaj bystrości umysłowej, tudy również upatrywać można pierwszy zawiązek ludzkiej dumy, poczucia pierwszeństwa swego w stosunku do reszty zwierząt. Może niemiecki wyraz »*Mensch*« (*manas*) wyraża właśnie coś z t e g o samopoczucia: człowiek określał siebie, jako istotę, która odmierza wartości, ocenia i mierzy, jako »oceniające wartości zwierzę samo w sobie«. Kupno i sprzedaż, wraz z swemi psychologicznymi przynależnościami, są starsze nawet od początków wszelkich społecznych form organizacyjnych i związków: z zaczątkowych raczej form prawa osobowego p r z e n i o ś ł o się dopiero kielkujące poczucie wymiany, umowy, długu, prawa, zobowiązania, wyrównania na najgrubsze i najpierwotniejsze kompleksy społeczne (w ich stosunku do podobnych kompleksów), wraz z przyzwyczajeniem porównywania, mierzenia, obliczania mocy mocą. Oko przystosowało się już teraz do tej perspektywy: i z ową niezdarną konsekwencją, właściwą ociężałemu, lecz później nieubłagane w tym samym kierunku toczącemu się dalej myśleniu dawniejszej ludzkości, doszło się niebawem, z pomocą wielkiego uogólnienia do tego, że »każda rzecz ma swą cenę; w s z y s t k o może być odpłacone«. Jest to najstarszy i najnaiwniejszy moralny kanon s p r a w i e d l i w o ś c i, początek wszelkiej »dobroduszności«, wszelkiej »słuszności«, wszelkiej »dobrej woli«, wszelkiej »objektywności« na ziemi. Sprawiedliwością na tym pierwszym szczeblu jest dobra wola pośród mniej więcej równie możliwych, postępowania ku wzajemnemu zadowoleniu, »porozumienia się« drogą wyrównania – a w stosunku do mniej możliwych, z m u s z e n i a ich do wyrównania pomiędzy sobą.

9.

Jeżeli ciągle mierzyć będziemy miarą czasów pierwotnych (które zresztą istnieją każdego czasu, lub znów są możliwe): to i społeczność pozostaje do swych członków w tym ważnym zasadniczym stosunku wierzyciela do dłużnika. Żyje się wśród społeczności, korzysta się z dobrodziejstw z niej wypływających (och, co za korzyści! niedoceniaamy ich dziś czasami) mieszka się pod opieką i ochroną, spokojnie i ufnie bez troski o pewne szkody i wrogości, na które wystawiony jest człowiek z p o z a o b r ę b u, »pozbawiony pokoju« - Niemiec zrozumie co *Elend, elend* pierwotnie ma oznaczać - wedle tego, jak się człowiek ze względu na te szkody i wrogości gminie zaprzedał i zobowiązał. Cóż stanie się w r a z i e p r z e c i w n y m? Gromada, wierzyciel oszukany, znajdzie sobie w miarę swej mocy zapłatę, można liczyć na to. Chodzi tu najmniej o bezpośrednią szkodę, którą szkodnik wyrządził: pomijając ją, jest przestępcą, przede wszystkim »zdrajcą«, łamiącym umowę i słowo względem c a ł o ś c i, w stosunku do wszystkich dóbr i przyjemności współżycia, w których aż dotąd uczestniczył. Przestępca jest dłużnikiem, który użyzionych sobie korzyści i zadatków nietylko nie spłaca, lecz jeszcze targa się na swego wierzyciela: dlatego traci odtąd, jak słuszną, nietylko wszystkie te dobra i korzyści, lecz jeszcze przywiedzie mu się na pamięć, j a k i e d o b r a t e m a j ą z n a c z e n i e. Gniew poszkodowanego wierzyciela, społeczności, przywraca dłużnika do dzikiego, wyjątego z pod prawa stanu, przed którym był dotąd chroniony: odtrąca - i każda wrogość może teraz szukać sobie na nim upustu. »Kara« na tym stopniu uobyczajenia to poprostu odbicie, *mimus* normalnego postępowania ze znenawidzonym, rozbrojonym, obalonym wrogiem, który postradał nietylko wszelkie prawo i opiekę, lecz i wszelką łaskę; więc jest to prawo wojenne i święto zwycięskiego *Vae victis!* najniemiłosierniejsze i najokrutniejsze - co wyjaśnia, że wojna sama

(zalicza się do tego i wojenny kult ofiarniczy) użyczyła wszystkich tych f o r m, pod którymi kara występuje w historii.

10.

Wraz z potężniejącą mocą przestaje społeczność ważyć zbyt wiele przestępstwa jednostki, bo nie może ich już, w tej mierze co dawniej, uważać za niebezpieczne i zagrażające bytowi całości. Złoczyńcy nie »pozbawia się pokoju«, ani nie skazuje na banicyę, gniew powszechny nie śmie już jak dawniej do tego stopnia niepohamowanie szukać sobie na nim upustu, – owszem całość bierze odtąd złoczyńcę przezornie w obronę i opiekę, zwłaszcza przed gniewem bezpośrednio poszkodowanych. Kompromis z gniewem i najbliższym przestępstwem dotkniętych; usiłowanie, by ograniczyć wypadek i zapobiec szerszemu lub nawet ogólnemu mieszanemu się w sprawę i zaniepokojeniu; starania, by znaleźć równoważniki i rzecz całą załatwić (*compositio*); przedewszystkiem coraz dobitniej występująca chęć uważania każdego przestępstwa za o d p ł a c a l n e w jakimś znaczeniu, więc, przynajmniej do pewnego stopnia, i z o l o w a n i e od siebie przestępcy i jego czynu: oto cechy, które coraz wyraźniej wyciskają się na dalszym rozwoju prawa karnego. W miarę wzrostu mocy i świadomości społeczeństwa, łagodniejsze zawsze i prawo karne; każde osłabienie i głębsze niebezpieczeństwo społeczeństwa wywodzi na światło surowsze tego prawa formy. »Wierzyciel« stawał się zawsze bardziej ludzki w miarę, jak stawał się bogatszy; wkońcu staje się nawet m i a r ą jego bogactwa ilość uszczerbków które wytrzymać może, nie cierpiąc na tem. Można wyobrazić sobie w społeczeństwie ś w i a d o m o ś ć m o c y, przy którejby mogło sobie ono pozwolić na najdostojniejszy zbytek, na jaki je stać, – puścić b e z k a r n i e szkodnika. »Cóż mnie właściwie obchodzą moje pasorzyty? – mogłoby rzec wówczas. – Niechże sobie żyją i tyją: na tom dość jeszcze silne!«... Sprawiedliwość, która zaczyna tem, że »wszystko jest odpłacalne, wszystko musi być

odpłacone«, kończy patrzeniem przez palce i puszczeniem niewypłacalnemu płazem, – kończy, jak wszelka dobra rzecz na ziemi, u n i c e s t w i e n i e m s i e b i e s a m e j. – Wiadomo, jak piękną zwie siebie nazwą ta unicestwiająca się sprawiedliwość: ł a s k ą. Pozostaje ona, rozumie się samo przez się, przywilejem najmocniejszego, właściwiej jeszcze, jego »pozaprawiem«.

11.

Teraz słowo celem sprzeciwienia się niedawno podjętym usiłowaniam szukania początku sprawiedliwości na zupełnie innym gruncie, mianowicie na gruncie, którym jest *ressentiment*. Psychologom powiem przedtem do ucha, przypuszczając, żeby mieli ochotę zbadać raz samo *ressentiment* zblizka: roślina ta kwitnie teraz najpiękniej wśród anarchistów i antysemitów, zresztą tak, jak zawsze kwitła, w ukryciu, fiołkowi podobna, acz z innym zapachem. A jak z podobnego koniecznie zawsze podobne powstać musi, tak też nie zdziwi nikogo, że właśnie znów z takich kół, jak to już częściej bywało – porównaj powyżej str. 45, – wychodzą usiłowania uświęcenia z e m s t y pod nazwą s p r a w i e d l i w o ś c i, jak gdyby sprawiedliwość była w gruncie tylko dalszym rozwojem uczucia urazy – a wraz z zemstą pragnie się wynieść następnie do czci wszystkie wogóle uczucia r e a k c y j n e. Tem ostatniem jabym najmniej się zgorszył: w stosunku do całego biologicznego problemu (ze względu na który wartości tych uczuć dotąd niedoceniano), uważałbym to nawet za z a s ł u g ę. Zwracam tylko uwagę na okoliczność, że to z ducha samego *ressentiment* wyrasta ta nowa *nuance* naukowej sprawiedliwości (na rzecz nienawiści, zazdrości, nieżyczliwości, podejrzliwości, *rancune*, zemsty). Ta »sprawiedliwość naukowa« ustaje zaś natychmiast i ustępuje miejsca akcentom śmiertelnej wrogości i uprzedzenia, skoro tylko chodzi o inną grupę uczuć, mających, zda mi się, jeszcze daleko wyższą wartość biologiczną, niż owe reakcyjne, i przeto zasługujących tem

bardziej, by je naukowo i wysoko cenić: mam na myśli właściwe a k t y w n e uczucia, jak żądza władzy, chciwość i im podobne. (E. Duhringa »Wartość życia«; »Kurs filozofii«; w gruncie rzeczy wszędzie). Tyle przeciw tendencji tej wogóle: co się jednak tyczy poszczególnego twierdzenia Duhringa, że ojczyzny sprawiedliwości szukać należy na gruncie uczucia reakcyjnego, to trzeba mu, gwoli prawdzie, szorstkiem odwróceniem inne przeciwstawić twierdzenie: o s t a t n i m gruntem, który duch sprawiedliwości zdobyć może, jest grunt uczucia reakcyjnego! Jeśli się rzeczywiście zdarzy, że człowiek sprawiedliwy sprawiedliwym zostanie nawet względem swych szkodników (a nietylko zimnym, umiarkowanym, obcym, obojętnym; być sprawiedliwym jest zawsze p o z y t y w n e m zachowaniem się), jeśli się nawet pod nawałem osobistej urazy, szyderstwa, podejrzania nie zmaćci wysoka, czysta, równie głęboko jak łagodnie patrząca przedmiotowość sprawiedliwego, s ą d z ą c e g o oka, w takim razie jest to częśćka doskonałości i najwyższego mistrzostwa na ziemi, – nawet coś, czego tu roztropnie jest nie oczekiwać, w co w każdym razie nie należy w i e r z y ć zbyt łatwo. Niewątpliwa, że średnio nawet osobom najuczciwszym wystarcza już drobna zaczepka, złośliwość, insynuacja, by wpędzić im krew w oczy, a wypędzić z oczu wszelkie poczucie słuszności. Aktywny, napadający, zaczepny człowiek stoi zawsze jeszcze sto kroków bliżej sprawiedliwości, niż reakcyjny; nie jest bowiem wcale zmuszony, w sposób, jak to reakcyjny człowiek czyni, czynić musi, do fałszywego, uprzedzonego oceniania swego przedmiotu. Rzeczywiście dlatego człowiek napadający jako silniejszy, odważniejszy, dostojniejszy miał za wszystkich czasów i w o l n i e j s z e o k o i c z y s t s z e sumienie: naodwrot zgadnąć już łatwo, kto wogóle ma na sumieniu wynalezienie »nieczystego sumienia« – człowiek opanowany przez *ressentiment!* Wkońcu rozejrzyjmy się w dziejach: w jakiej sferze wogóle dotąd sprawowanie prawa, jak też właściwa potrzeba prawa czuły się na

ziemi u siebie? Czyżby w sferze człowieka reakcyjnego? Wcale nie: raczej w sferze aktywnego, silnego, spontanicznego, zaczepnego. Niech padnie słowo ku zmartwieniu pomienionego agitatora (który sam raz to o sobie złożył zeznanie: »nauka zemsty przewijała się jak czerwona nić sprawiedliwości przez wszystkie moje prace i usiłowania«). Otóż ze stanowiska historycznego przedstawia prawo na ziemi walkę właśnie p r z e c i w uczuciom reakcyjnym, wojnę, wydaną im ze strony aktywnych i zaczepnych potęg, które swej siły używały po części na to, by powstrzymać wybujałość reakcyjnego patosu i nakazać mu miarę i wymusić pogodzenie. Wszędzie, gdzie dzieje się i utrzymuje sprawiedliwość, widać silniejszą moc, która w stosunku do niżej od niej stojących, słabszych (czy to grup, czy jednostek), szuka środków, by bezmyślnie szalejącemu *ressentiment* kres położyć, już to wydzierając przedmiot tegoż *ressentiment* z rąk zemsty, już to zamiast zemsty wydając ze swej strony bitwę wrogom pokoju i porządku, już to wynajdując wyrównania, proponując, w danych razach narzucając, już to podnosząc pewne równoważniki uszkodzeń do normy, do której odtąd raz na zawsze *ressentiment* stosować się musi. Najbardziej jednak rozstrzygającą rzeczą, którą najwyższa potęga wywiera i przeprowadza wbrew przewadze uczucia odporu i urazy - czyni to zawsze, skoro tylko jest dość silna ku temu -, jest ustanowienie p r a w a, rozkazodawcze oświadczenie, co wogóle w oczach jej uchodzić ma za dozwolone, za słuszne, a co za wzbronione, za niesłuszne. Traktując po ustanowieniu prawa przestępstwa i akty samowoli jednostek, jak też całych grup, jako występki względem prawa i bunt przeciw najwyższej mocy, odwraca ona uczucie podległych sobie od najbliższej szkody takimi występkami wyrządzonej i osiąga w ten sposób odwrotność tego, czego chce każda zemsta, znająca jedynie i uznająca tylko punkt widzenia poszkodowanego -: odtąd ćwiczy się oko w coraz b e z o s o b i t s z e j ocenie czynu, nawet oko samego poszkodowanego (aczkolwiek to na

samym ostatku, jak wyżej zauważono). - Wedle tego »prawo« i »bezprawie« istnieją dopiero od ustanowienia p r a w a (a nie, jak chce Duhring, od aktu urazy). Mówić o »prawie« i »bezprawiu« s a m y c h w s o b i e niema zgoła sensu; naturalnie nie może urażenie, pogwałcenie, złupienie, zniszczenie samo w sobie być czymś »bezprawnem«, o ile życie funkcjonuje e s e n c y o n a l n i e, to jest raniąc, gwałcąc, łupiąc, niszcząc w swych zasadniczych funkcjach, i nie da się wcale bez tego charakteru pomyśleć. Trzeba wyznać jeszcze coś ciekawszego, że z najwyższego biologicznego stanowiska stany prawne mogą być zawsze tylko s t a n a m i w y j ą t k o w y m i, jako częściowe ograniczenia właściwej, do mocy dążącej woli życiowej i podporządkowanie sobie jej wspólnych celów jako poszczególnych środków, to jest jako środków do stworzenia w i ę k s z y c h jedności mocy. Porządek prawny, pomyślany samowładczo i ogólnie, nie jako środek w walce kompleksów mocy, lecz jako środek p r z e c i w wszelkiej walce wogóle, może wedle komunistycznego szablonu Duhringa, że każda wola winna każdą wolę za równą uważać, byłby zasadą w r o g ą ż y c i u, burzycielem i rozprzężeniem człowieka, zamachem na przyszłość człowieka, znakiem znużenia, ukradkowym przesmykiem do nicości. -

12.

Tu jeszcze słowo o pochodzeniu i celu kary - dwa problematy, które rozpadają się, lub rozpaść się powinny: niestety, zlepia się je zwykle w jedno. Bo jakże postępują w tym wypadku dotychczasowi genealogowie moralności? Naiwnie, jak zwykle postępowali -: wynajdują jakiś »cel« w karze, naprzykład zemstę lub odstraszanie, umieszczają potem dobrodusznie ten cel na początku, jako *causa fiendi* kary - i rzecz gotowa. Lecz »cel w prawie« przydać się może historii powstawania prawa dopiero na samym ostatku: niema raczej dla żadnego rodzaju historii zgoła ważniejszego twierdzenia nad owo, które z takim trudem zdobyto, lecz które też w i n n o b y ł o być

zdobyte, - to jest, że przyczyna powstania jakiejś rzeczy i jej ostateczna użyteczność, jej rzeczywiste zużytkowanie i wciągnięcie w system celów, odległe są *toto coelo* od siebie; że co jest, co jakimkolwiek sposobem doszło do skutku, bywa przez moc odeń wyższą wykładane ciągle pod kątem nowych zamysłów, na nowo zagarniane, w nowy pożytek przekształcane i kierowane; że wszystko, co dzieje się w świecie organicznym jest p r z e m o ż e n i e m, o p a n o w a n i e m, a wszelkie znów przemożenie i opanowanie nowem wytłumaczeniem i przyrządzeniem, przy którym dotychczasowy »sens« i »cel« z konieczności zaciemnić się lub zgoła zagasnąć musi. Choćby się najlepiej pojęło p o ż y t e k jakiegoś organu fizyologicznego (lub też instytucji prawnej, obyczaju społecznego, zwyczaju politycznego, formy w sztukach lub w kulcie religijnym), to jeszcze tem samem nie pojęliśmy nic pod względem jego powstania. Być może, że będzie to starszym uszom brzmieć niewygodnie i nieprzyjemnie, - gdyż oddawna sądzono, że dający się wykazać cel, pożyteczność pewnej rzeczy, pewnej formy, pewnego urządzenia tłumaczy także powód ich powstania, że oko sporządzone jest d o patrzenia, ręka d o chwytania. Tak też wyobrażano sobie i karę, jako wynalezioną d o karania. Lecz wszystkie cele, wszystkie pożytki są tylko o z n a k a m i tego, że wola mocy stała się panią czegoś mniej mocnego i wycisnęła sobą na nich znaczenie funkcji; i całe dzieje jakiejś »rzeczy«, jakiegoś organu, jakiegokolwiek zwyczaju mogą być w ten sposób dalszym ciągiem łańcucha znaków, ciągle nowych tłumaczeń i przystosowań, których same przyczyny nie muszą znajdować się nawet między sobą w związku przyczynowym, raczej w danym razie przypadkowo tylko po sobie następują i zastępują się. »Rozwój« jakiejś rzeczy, jakiegoś zwyczaju, jakiegoś organu nie jest w ten sposób bynajmniej postępem (*progressus*) ku pewnemu celowi, tem mniej logicznym i najkrótszym, najmniejszym nakładem sił i kosztów osiągniętym postępem, - jeno kolejnem

następstwem głębiej lub płycej sięgających, mniej lub więcej wzajemnie niezależnych, odgrywających się w nim procesów przemagania, z dodatkiem oporu stosowanego każdym razem, usiłowań zmian formy w celu obrony i reakcji, i wyników udanych przeciwdziałań. Forma jest płynna, lecz »sens« bardziej jeszcze... Nawet wewnątrz każdego poszczególnego organizmu nie dzieje się inaczej: z każdym istotnym wzrostem całości zmienia się też »sens« poszczególnych organów, - w pewnych razach częściowe ich zanikanie, ich liczebne zmniejszanie się (naprzykład przez niszczenie członków pośrednich) może być znakiem wzrastającej siły i doskonałości. Chciałem rzec: także częściowe b e z u ż y t e c z n i e n i e, niedołączenie i zwyrodnianie, zatraćanie się sensu i celowości, krótko, śmierć, należą do warunków rzeczywistego *progressus*, który jawi się zawsze w postaci woli i drogi ku w i ę k s z e j m o c y i osiągany bywa zawsze kosztem licznych mniejszych mocy. Wielkość »postępu«: m i e r z y się nawet ilością tego, co musiało mu być p o ś w i ę c o n e m; ludzkość, jako masa poświęcona udaniu się jednej s i l n i e j s z e j *species* człowieka - t o b y był postęp... Podnoszę ten główny punkt widzenia metodyki historycznej tem bardziej, że sprzeciwia się właśnie panującemu instynktowi i smakowi czasu, któryby raczej zgodził się jeszcze z bezwzględną przypadkowością, ba, z mechaniczną bezmyślnością wszystkiego, co się dzieje, niż z teorią, odgrywającą się we wszystkim, co się dzieje, w o l i m o c y. Demokratyczna idyosynkrazia do wszystkiego, co panuje i chce panować, nowoczesny m i z a r c h i z m (aby ukuć złe słowo na złą rzecz) przemienił i przebrał się z czasem do tak duchowego i najbardziej duchowego stopnia, że dzisiaj krok za krokiem wciska się, ś m i e się wciskać już w najsurowsze, pozornie najbardziej przedmiotowe umiejętności; ba, zdaje mi się, że stał się już panem całej fizjologii i nauki o życiu, ku jej szkodzie, jak się samo przez się rozumie, ukradłszy jej pojęcie zasadnicze, pojęcie właściwej a k t y

w n o ś c i. Wzajemian wysuwa się pod naciskiem owej idyosynkrazyi na pierwszy plan »przystosowanie«, to znaczy aktywność drugiego rzędu, czystą reaktywność, nawet życie samo określono jako zawsze celowe wewnętrzne »przystosowywanie« do zewnętrznych okoliczności (Herbert Spencer). W ten sposób jednak nie rozumie się istoty życia, jego w o l i m o c y; w ten sposób przeocza się zasadnicze pierwszeństwo, należne spontanicznym, zaczepnym, przekraczającym, wykładającym i kierującym w sposób nowy, kształtującym siłom, których działanie dopiero sprowadza »przystosowanie«; w ten sposób zaprzeczono w organizmie nawet władczej roli najwyższych funkcjonariuszów, w których wola życiowa objawia się aktywnie i kształtująco. Przypomnijmy sobie, co zarzucał Huxley Spencerowi – jego nihilizm administracyjny: lecz chodzi jeszcze o coś w i ę c e j, niż o »administrowanie«...

13.

- Aby więc wrócić do przedmiotu, to jest do k a r y, należy w niej rozróżniać dwie rzeczy: najpierw to, co w niej jest względnie t r w a ł e, zwyczaj, akt, »dramat«, pewną surową kolejność procedur, z drugiej strony to, co w niej płynne, sens, cel, oczekiwanie, które się łączy z wykonaniem takich procedur. Przytem przypuszczamy tylko, *per analogiam*, wedle wyłuszczonego właśnie zasadniczego punktu widzenia metodyki historycznej, że procedura sama będzie czymś starszym, wcześniejszym, niż jej zużytkowanie do kary, że dopiero w ł o ż o n o ją w procedurę i podsunęto jako tej procedury tłumaczenie (dawno istniejącej, lecz w innym znaczeniu używanej), słowem, że rzecz n i e tak się ma, jak nasi naiwni genealogowie moralności i prawa dotąd przypuszczali, mniemając wszyscy razem, że procedurę w y n a l e z i o n o dla celu kary, tak jak sobie niegdyś wyobrażano rękę wynalezioną celem chwytania. Co się tyczy jednak owego drugiego pierwiastku w karze, płynnego, jej »sensu«, to w późniejszym stanie kultury (naprzykład w Europie dzisiejszej)

pojęcie »kary«: nie przedstawia faktycznie wcale już jednego sensu, lecz całą syntezę »sensów«: dotychczasowe dzieje kary wogóle, dzieje jej wyzyskiwania do najróżniejszych celów, krystalizują się ostatecznie w pewien rodzaj jedności, trudno rozpuszczalnej, trudnej do analizowania i, co podnieść trzeba, n i e d a j ą c e j s i ę w c a l e z d e f i n i o w a ć. (N i e m o ż l i w ą jest dziś rzeczą powiedzieć dokładnie, d l a c z e g o właściwie się karze: wszystkie pojęcia, w których się cały proces semiotycznie streszcza, uchylają się od definicyi; definiować daje się tylko to, co nie ma żadnych dziejów). Natomiast w pewnym wcześniejszym stadyum okazuje się jeszcze owa synteza »sensów« bardziej do rozwikłania, a także bardziej podatna zmianie; można zauważyć jeszcze, jak w każdym poszczególnym przypadku pierwiastki syntezy zmieniają swoją wartościowość i wedle tego inaczej się porządkują tak, że raz ten, to znów ów pierwiastek kosztem pozostałych wybija się na czoło i dominuje, a nawet w pewnych razach jeden pierwiastek (może cel odstraszenia) zdaje się unicestwiać całą resztę składników. Aby dać przynajmniej wyobrażenie, jak niepewny, jak następczy, jak przypadkowy jest »sens« kary i jak jedna i ta sama procedura ze względu na zasadniczo różne zamysły może być różnie zużytkowana, wytłómaczona, przykrojona, niechaj posłuży tu schemat, do którego doszedłem na podstawie małego stosunkowo i przypadkowego materiału. Kara jako unieszkodliwienie, jako przeszkodzenie dalszemu szkodzeniu. Kara jako odpłacenie poszkodowanemu szkody, w jakiejbądź formie (także w uczuciowym wynagrodzeniu). Kara jako izolowanie zakłócenia równowagi, by zapobiec rozszerzeniu się zakłócenia. Kara jako wpajanie strachu przed tymi, którzy karę wyznaczają i wykonywają. Kara jako rodzaj wyrównania za te korzyści, których przestępca dotychczas używał (naprzykład, jeśli się go używa jako niewolnika w kopalniach). Kara jako wyłączenie pierwiastka zwyrodniałego (w danych razach całej gałęzi, jak wedle

prawa chińskiego: więc jako środek do utrzymania czystości rasy i utrzymania tęgości typu społecznego). Kara jako uroczystość, to jest jako pogwałcenie i wyszydzenie obalonego nakoniec wroga. Kara jako wyrabianie pamięci, czy to temu, który karę ponosi – tak zwana »poprawa«, czy to świadkom egzekucji. Kara jako honorarium, zastrzeżone ze strony władzy, która chroni złoczyńcę przed wybujałością zemsty. Kara jako kompromis z naturalnym stanem zemsty, o ile ten ostatni utrzymuje się jeszcze dzięki możliwym rodom i o ile one roszczą sobie doń przywileje. Kara jako wypowiedzenie wojny i środek przeciw wrogowi pokoju, prawa, porządku, zwierzchności, wrogowi, którego zwalcza się środkami, jakie wojna właśnie daje w ręce, jako niebezpiecznego dla społeczności, jako łamiącego umowę, co do jej warunków, jako buntownika, zdrajcę i pokojołomcę.

14.

Lista ta jest niewątpliwie niezupełna; kara jest jawnie przeładowana pożytecznościami wszelkiego rodzaju. Tem snadniej odjąć jej można użyteczność *d o m n i e m a n ą*, która jużci uchodzi w świadomości ludowej za najistotniejszą. Wiara w karę, chwiejąca się dziś z licznych powodów, znajduje właśnie w niej ciągle najsilniejszą swą podporę. Kara posiadać ma tę wartość, że budzi *p o c z u c i e w i n y* w winnym, szuka się w niej właściwego *instrumentum* owej duchowej reakcji, która zwie się »nieczystym sumieniem«, »wyrzutem sumienia[^] Lecz tem samem wykracza się nawet ze względu na dziś jeszcze przeciw rzeczywistości i psychologii, a cóż dopiero ze względu na najdłuższe dzieje człowieka, jego przeddzieje! Prawdziwy wyrzut sumienia jest właśnie wśród zbrodniarzy i skazańców czemś niezmiernie rzadkiem; więzienia, domy poprawy *n i e* są wylęgarnią, w której ta *species* toczącego robaka najchętniej się udaje; – w tem zgadzają się wszyscy sumienni postrzegacze, którzy w licznych wypadkach sąd tego

rodzaju dość niechętnie i przeciw własnym wydają życzeniom. Naogół licząc, kara hartuje i ostudza; koncentruje; zaostrza poczucie osamotnienia; wzmacnia siłę oporu. Jeżeli się zdarzy, że złamie energię i wywoła nędzne ukorzenie i poniżenie się, to wypadek taki jest bezsprzecznie jeszcze mniej pokrzepiający, niż średnie działanie kary, które charakteryzuje sucha, ponura powaga. Gdy zaś pomyślimy jeszcze o owych tysiącoleciach p r z e d dziejami człowieka, to śmiało możemy wydać sąd, że właśnie kara najbardziej p o w s t r z y m a ł a rozwój poczucia winy, – przynajmniej ze względu na ofiary, na których sobie przemoc karząca szukała upustu. Nie ważmy mianowicie lekce tego, jak dalece właśnie widok sądowych i wykonawczych procedur nawet przeszkadza przestępcy odczuwać czyn swój, rodzaj swego postępuku jako pogardy godny s a m w s o b i e: widzi on bowiem zupełnie ten sam rodzaj postępuku spełniany w służbie sprawiedliwości i nazywany wówczas dobrym, z czystym sumieniem spełniany: więc szpiegostwo, podejście, przekupstwo, zastawianie sideł, całą frantowską i szczwaną sztukę policyantów i oskarżycieli, następnie zasadnicze, nawet afektem nie uniewinnione grabienie, pogwałcenie, lżenie, więzienie, torturowanie, mordowanie, tak jak się w różnych rodzajach kary przebijają, – wszystko to więc jako czynności wcale przez sędziów nie napiętnowane pogardą, ani potępione s a m e w s o b i e, lecz tylko w pewnym względzie i pewnym zużytkowaniu. »Nieczyste sumienie«, ten najbardziej niesamowity i zajmujący kwiat naszej ziemskiej roślinności, n i e wyrósł na tym gruncie, – w rzeczywistości nie istniało przez najdłuższy okres czasu nawet w świadomości sądzących, karzących n i c, coby wyrażało, że się ma do czynienia z »winnym«. Tylko ze szkodnikiem, z nieodpowiedzialną częścią przeznaczenia. I nawet ten, na którego później spadała kara, znowu jako część przeznaczenia, nie doznawał przytem żadnej innej »wewnętrznej udręki«, jak kiedy nastąpiło coś nieobliczalnego, jakiś straszny

wypadek w naturze, oberwanie się miazdzącej skały, przeciw czemu na nic wszelka walka.

15.

Uświadomiło się to raz w sposób podchwytliwy Spinozie (ku zmartwieniu jego wykładowcy, którzy porządnie się w y s i l a j ą, by go w tem miejscu nie rozumieć, naprzykład Kuno Fischer), gdy pewnego popołudnia, kto wie, o jakie ocierając się wspomnienie, zajęty był pytaniem, co jemu samemu właściwie pozostało z sławnego *morsus conscientiae* -, jemu, który dobro i zło wygnał między urojenia ludzkie i gniewnie bronił czci swego »wolnego« Boga przeciw bluźniercom, utrzymującym, że Bóg czyni wszystko *sub ratione boni* (»lecz toby znaczyło poddawać Boga przeznaczeniu i byłoby zaiste największą z wszystkich niedorzeczności« -). Świat cofnął się znowu dla Spinozy do stanu owej niewinności, w której spoczywał przed wynalezieniem nieczystego sumienia: cóż zatem pozostało z *morsus conscientiae* ?

»Przeciwieństwo *gaudium*, rzekł sobie wkońcu, - smutek, połączony z wyobrażeniem rzeczy minionej, która wypadła przeciw wszelkiemu oczekiwaniu«. *Eth.* III. *propos.* XVIII, *schol.* I. II. N i e i n a c z e j n i ż S p i n o z a przez ciąg tysiącoleci odczuwali popełnione »przestępstwo« złoczyńcy, których kara dosięgła: »coś tu wbrew przypuszczeniom poszło źle«, a n i e: »tego nie powinienem być czynić« - poddawali się karze, jak się poddaje człowiek chorobie, nieszczęściu lub śmierci, z tym odważnym fatalizmem bez buntu, dzięki któremu naprzykład dziś jeszcze Rosyanie w szafowaniu życiem wyżej stoją od nas, mieszkańców Zachodu. Jeśli istniała wówczas krytyka czynu, to czyn poddawała krytyce roztropność: bez wątpienia, musimy szukać właściwego s k u t k u kary przede wszystkim w zaostreniu roztropności, w przedłużeniu pamięci, w woli przystępowania nadal do dzieła ostrożniej, nieufniej, tajemniej, w zrozumieniu, że dla wielu rzeczy jest się raz na zawsze

za słabym, w pewnym polepszeniu samooceny. Co naokół osiągnąć można przez karę, w człowieku i zwierzęciu, to pomnożenie obawy, zaostrzenie rozsądku, opanowanie żądz: w ten sposób kara o b ł a s k a w i a człowieka, nie czyni go jednak »lepszym«, - możnaby z większym prawem jeszcze twierdzić coś przeciwnego. («Każdy mądry po szkodzie«, mówi lud: o ile szkoda czyni mądrym, o tyle i złym. Na szczęście czyni dość często głupim).

16.

W tem tu miejscu nie mogę uniknąć, by własnej swojej hipotezie o początku »nieczystego sumienia« nie dopomóc do pierwszego tymczasowego wyjawu nie łatwo zdobyć dla niej posłuch, - chce ona, by długo ją przemyślać na jawie i we śnie. Uważam nieczyste sumienie za ciężkie chorzenie, w które człowiek wpaść musiał pod naciskiem owej najbardziej zasadniczej z wszystkich przemian, jakie wogóle przeżył, - owej przemiany, gdy znalazł się ostatecznie zamkniętym w żakietem kole społeczeństwa i pokoju. Jak zwierzętom wodnym, gdy zmuszone były albo stać się zwierzętami lądowymi, albo zginąć, tak samo działo się tym półzwierzom dziczy, przystosowanym szczęśliwie do wojny, włości i przygód, - nagle instynkty ich pozbawione zostały wartości i »zawieszono«. Miały odtąd chodzić na nogach i »nosić same siebie«, gdy dotąd nosiła je woda. Straszliwe brzemie ciążyło na nich. Do najprostszych zatrudnień czuły się niezgrabne, brakło im ich starych przewodników po tym nowym nieznanym świecie, regulujących, nieświadomie a pewnie wiodących popędów, - zostały ograniczone do myślenia, wnioskowania, obliczania, kombinowania przyczyn i skutków, te nieszczęśniki, ograniczone do s w e j »świadomości«, do swego najbiedniejszego, najzawodniejszego organu! Zdaje mi się, że nigdy nie istniało na świecie podobne poczucie nędzy, takie ołowiane zniechęcenie, - a nadto owe stare instynkty nie przestały odrazu stawiać swych wymagań! Tylko że trudno i rzadko można było czynić po ich woli:

naogół musiały szukać sobie nowych i jakby podziemnych zadowoleń. Wszystkie instynkty, nie mogące wyładować się na zewnątrz, z w r a c a j ą s i ę w e w n ą t r z - oto co nazywam u w e w n ę t r z n i e n i e m człowieka; tak dopiero przyrasta do człowieka to, co się później jego »duszą« zowie. Cały świat wewnętrzny, początkowo cienki, jakby wciśnięty między dwa naskórki, róż rósł się i wyrósł, nabrał głębi, szerzy, wysokości, w miarę, jak z a h a m o w a n e zostało wyładowywanie się człowieka na zewnątrz. Owe straszne obwarowania, które organizacja państwowa broniła się przeciw dawnym instynktom wolności - kary przede wszystkim należą do tych obwarowań -, sprawiły, że wszystkie owe instynkty starego, wolnego, koczowniczego człowieka zwróciły się wstecz, p r z e c i w c z ł o w i e k o w i s a m e m u. Wrogość, okrucieństwo, uciecha z prześladowania, z napadania, ze zmiany i zniszczenia - wszystko to, zwrócone przeciw posiadaczom takich instynktów, o t o początek »nieczystego sumienia«. Człowiek, który z braku zewnętrznych wrogów i oporów, wtłoczony w gniotącą cieśń i prawidłowość obyczaju, niecierpliwie sam siebie targał, prześladował, gryzł, zakłócał i katował, to o kraty swej klatki raniące się zwierzę, które się chce »obłaskawić«, ten nędzarz, czujący brak i trawiony tęsknotą za pustynią, który z samego siebie stwarzać sobie musiał przygodę, miejsce tortury, puszcę niepewną i niebezpieczną - ten szaleniec, ten stęskniony i rozpaczony więzień stał się wynalazcą »nieczystego sumienia«. Od niego jednak rozpoczęła się największa i najstraszniejsza choroba, z której ludzkość po dziś dzień nie ozdrowiała, człowiek rozchorował się n a c z ł o w i e k a, n a s i e b i e s a m e g o: wskutek gwałtownego odcięcia się od przeszłości zwierzęcej, niejako skoku i runięcia w nowe położenie i warunki bytu, wskutek wypowiedzenia wojny starym instynktom, na których polegała dotąd jego siła, uciecha i straszliwość. Dodajmy do tego natychmiast, że z drugiej strony wraz z duszą zwierzęcą, zwracającą

się przeciw samej sobie, stojącą po stronie przeciwnej sobie samej, zaszło na ziemi coś tak nowego, głębokiego, niesłychanego, zagadkowego, w sprzeczność i p r z y s z ł o ś ć b r z e m i e n n e g o, że widok ziemi zmienił się zasadniczo. W samej rzeczy, trzeba było boskich widzów, aby godnie uczcić widowisko, które się wówczas zaczęło i którego końca jeszcze dziś wcale przewidzieć nie można, – widowisko zbyt subtelne, zbyt cudowne, zbyt paradoksalne, aby mogło się odegrać nedorzecznie, niepostrzeżenie na jakiejś śmiesznej gwiazdzie! Odtąd człowiek należy do najbardziej nieoczekiwanych i wzruszających rzutów szczęścia, w które gra »wielkie dziecko« Heraklita, – czy się zwie Zeusem czy Przypadkiem, – wzbudza dla siebie zajęcie, napięcie uwagi, nadzieję, nieledwo pewność, jak gdyby coś się nim zwiastowało, coś przygotowywało, jak gdyby człowiek nie był celem, lecz tylko drogą, ogniwem, mostem, wielką obietnicą...

17.

Do założenia tej hipotezy początku nieczystego sumienia należy po pierwsze to, że owa przemiana nie była wcale stopniowa, wcale dobrowolna i nie przedstawiała się jako organiczne wrastanie w nowe warunki, lecz jako przełom, jako skok, mus, nieodparta fatalność, przeciw którym nie było żadnej walki, ani nawet żadnego *ressentiment*. Po drugie jednak i to, że przystosowanie się nie hamowanej dotąd i nie ukształconej ludności do stałej formy, jak zaczęło się gwałtem, tak też samymi gwałtami do końca doprowadzone zostało; że najstarsze »państwo«, wedle tego wystąpiło i dalej działało jako tyrania straszliwa, jako miażdżąca i bezwzględna maszynerya, aż wreszcie taki surowy materiał ludu i półwierząt nietylko ugniótł się i stał się podatny, lecz także został u f o r m o w a n y. Używam wyrazu »państwo«: wiadomo, co przez to rozumiem – jakąś gromadę płowowłosych drapieżców, rasę zdobywców i panów, która, zorganizowana na sposób wojenny,

i posiadając moc do organizowania, kładzie bez skrupułu swe straszliwe łapy na ludność może liczebnie nieskończenie wyższą, lecz jeszcze bezkształtną, jeszcze koczowniczą. Tak przecie poczyną się »państwo« na ziemi: sądzę, że pozbyto się owego marzenia, które kazało mu powstawać drogą »umowy«. Kto rozkazywać umie, kto jest z natury »panem«, kto gwałtem sobie poczyną w każdym ruchu i dziele, – cóż ma taki do czynienia z umowami? Takie istoty nie są obliczalne, przychodzą jak przeznaczenie, bez powodu, wbrew rozumowi, bez względu, pozorowi, zjawiają się, jak grom się zjawia, zbyt strasznie, zbyt nagle, zbyt przekonywająco, zbyt »inaczej«, by nawet nienawidzone być mogły. Dzieło ich jest instynktownym tworzeniem form, wyciskaniem form, są to najbardziej poniewolni, najnieświadomszy artyści, jacy istnieją. Gdzie się pojawią, jawi się wkrótce coś nowego, twór władczy, który ż y j e, w którym części i funkcje zostały odgraniczone i uzależnione, w którym nie znajdzie miejsca nic wogóle, w co wprzód nie został włożony »sens« odnośnie do całości. Oni nie wiedzą, ci urodzeni organizatorowie, co wina, co odpowiedzialność, co wzgląd; rządzi nimi ów straszliwy egoizm twórcy, który patrzy jak spiż i czuje się, jak matka przez dziecię swoje, z góry usprawiedliwionym przez swe »dzieło« na wieki. To n i e w n i c h wyrosło nieczyste sumienie, rozumie się z góry, – aleby nie było wyrosło b e z n i c h to obrzydłe zielsko, brakłoby go, gdyby pod naciskiem ich młotów bijących, ich potęgi twórczej pewne olbrzymie *quantum* wolności nie zostało usunięte ze świata, przynajmniej z widoku i niejako wprowadzone w s t a n u t a j e n i a. Tym wprowadzonym gwałtownie w stan utajenia i n s t y n k t e m w o l n o ś c i – pojęliśmy to już, – tym wstecz wypartym, cofniętym, wewnątrz uwięzionym i wkońcu znajdującym ujście i upust jeszcze tylko na sobie samym instynktem wolności: tem i tylko tem jest w swym zaczątku n i e c z y s t e s u m i e n i e.

18.

Strzeżmy się pomiać całem tem zjawiskiem już dlatego, że odrazu jest szpetne i bolesne. W gruncie rzeczy jest to przecie ta sama siła czynna, która u owych potężnych twórców i organizatorów działa wspanialej i buduje państwa, aktora tutaj, wewnętrzną, mniejszą, małostkowszą, na wstecz skierowaną, w »labiryncie piersi«, mówiąc z Goethym, stwarza sobie nieczyste sumienie, buduje ideały negatywne, to właśnie ów i n s t y n k t w o l n o ś c i (mówiąc moim językiem: wola mocy). Tylko że tworzywem, które urabia kształtującą i gwałcicielską naturą owej siły, jest właśnie sam człowiek, jego cała zwierzęca stara jaźń, - a n i e, jak w owym większem, najoczniejszym zjawisku, i n n y człowiek, i n n i ludzie. To tajne gwałcenie siebie, to okrucieństwo twórcze, ta uciecha nadawania kształtu sobie samemu, jako ciężkiemu, opornemu, cierpiącemu tworzywu, uciecha wypalania na sobie woli, krytyki, sprzeczności, pogardy, zaprzeczenia, ta niesamowita i przerażająco rozkoszna robota dobrowolnie rozdwojonej w sobie duszy, która sobie ból zadaje z rozkoszy zadawania bólu, całe to a k t y w n e »nieczyste sumienie«, jako macierzyńskie łono idealnych i wyobraźniowych wydarzeń - jak to już zgadnąć można - wywiodło ostatecznie na światło także całą pełnię nowej dziwnej piękności i potwierdzenia, a może wogóle dopiero po raz pierwszy piękno samo... Cóżby bowiem było »pięknem«, gdyby wpierw sprzeczność nie uświadomiła się samej sobie, gdyby wpierw brzydota nie powiedziała samej sobie: »jestem brzydka«?... Po tej wskazówce przynajmniej będzie mniej zagadkowa zagadka, o ile w pojęciach zaprzecznych, jak b e z o s o b o w o ś ć, z a p a r c i e s i ę s i e b i e, o f i a r a, wyraża się ideał, piękność. I jedno odtąd wiadomo - nie wątpię -, mianowicie w jakim rodzaju od początku jest r o z k o s z, którą odczuwa bezosobowy, samozapierający się, samoofiarny: rozkosz ta należy do okrucieństwa. - Tyle tymczasem co do pochodzenia »nieegoistyczności«, jako wartości m o r a l n e j, i celem

wyznaczenia gruntu, z którego wartość ta wyrosła: dopiero nieczyste sumienie, dopiero wola samodręczenia jest warunkiem w a r t o ś c i pierwiastku nieegoistycznego. -

19.

Chorobą jest nieczyste sumienie, to nie ulega wątpliwości, lecz chorobą taką, jaką jest ciąża naprzykład. Poszukajmy warunków, wśród których choroba ta doszła do najstraszniejszego i najwyższego szczytu: - zobaczymy, co z tą chwilą właściwie dopiero na świat przyszło. Do tego potrzeba jednak długiego oddechu, - i przede wszystkim musimy raz jeszcze wrócić do dawniejszego punktu widzenia. Prywatno-prawny stosunek dłużnika do wierzyciela, o którym już obszerniej mowa była, został raz jeszcze, a to w sposób historycznie zupełnie podziwu godny i zastanawiający, wciągnięty jako tłumaczenie w stosunek, gdzie dla nas, ludzi nowoczesnych, jest może najniezrozumialszy. Mianowicie w stosunek ludzi t e r a ż n i e j s z y c h do swych p r z o d k ó w. W łonie pierwotnych związków rodowych - mówimy o praczasach - każde z kolei pokolenie uznaje wobec pokolenia dawniejszego, a w szczególności wobec najdawniejszego, wobec założycieli rodu, pewien obowiązek prawny (nie zaś jedynie zobowiązanie uczuciowe: ostatniego możnaby nawet nie bez powodu wogóle zaprzeczyć, o ile dotyczy najdłuższego okresu rodzaju ludzkiego). Panuje tu przekonanie, że r ó d i s t n i e j e tylko dzięki ofiarom i świadczeniom przodków - i że trzeba im je ofiarami i świadczeniami o d p ł a c a ć. Tem samym uznaje się d ł u g, który przez to jeszcze ustawicznie narasta, że przodkowie ci w dalszym ciągu swego istnienia, jako potężne duchy, nie przestają używać rodowi nowych korzyści i nowych zadatków. Czy darmo? Lecz dla owego nieokrzesanego i »ubogiego duchem« okresu nie istnieje żadne »darmo«. Czemże można im się odpłacić? Ofiarami (z początku dla pożywienia, w najgrubszym rozumieniu), świętami, kaplicami, oznakami czci, przede wszystkim posłuszeństwem - gdyż wszystkie

zwyczaje, jako dzieła przodków, są też ich ustawami i rozkazami. Czy aby zadowala się ich kiedykolwiek? Ta obawa pozostaje i rośnie: co pewien czas wymusza ona wielką ryczałtową wypłatę, coś potwornego na rzecz »wierzyciela« (osławiona ofiara z pierwocin na przykład, krew, krew ludzka w każdym wypadku). S t r a c h przed praszczurem i jego mocą, świadomość długów względem niego wzmagają się koniecznie wedle tego rodzaju logiki zupełnie w tej mierze, w jakiej wzrasta moc samego rodu, w jakiej sam ród staje się coraz bardziej zwycięski, niezależny, czcią i obawą przejmujący. Nie zaś odwrotnie! Każdy krok ku upadkowi rodu, wszystkie nieszczęsne przypadki, wszystkie oznaki zwyrodnienia i ujawniającego się rozkładu z m n i e j s z a j ą raczej zawsze także strach przed duchem jego założyciela i coraz bardziej wyobrażenie o jego mądrości, przezorności i obecności jego mocy. Jeśli się rzecz przemyśli tym surowym rodzajem logiki do końca, to ostatecznie przodkowie n a j p o t ę ż n i e j s z y c h rodów muszą, dzięki wyobraźni rosnącej trwogi, sami wyrósć do potworności i usunąć się w mrok boskiej tajemniczości i niewyobrażalności: – praszczur przekształca się ostatecznie z konieczności w boga. Może tu jest sam początek bogów, a więc początek ze s t r a c h u rodem!... A komuby się wydawało, że należy dodać: »ale i z pobożności!« temuby trudno było zostać przy racji w stosunku do owego najdłuższego okresu ludzkiego rodzaju, jego praczasów. Za to tem bardziej, oczywiście, co do okresu ś r e d n i e g o, kiedy powstają rody dostojne, które rzeczywiście swym praszczurom, swym przodkom (bohaterom, bogom) z odsetkami oddały wszystkie te właściwości, które tymczasem w nich samych się ujawniły, właściwości dostojne. Na uszlachcenie i uszlachetnienie bogów (które oczywiście nie jest ich »uświęceniem«) rzucimy później raz jeszcze okiem. Tymczasem wytknijmy jeno do końca drogę tego rodzaju świadomości winy.

Świadomość długu względem bóstwa, jak nauczają dzieje, nie ustala wcale po upadku opartej na związkach krwi, organizacyjnej formy »gminy«. Ludzkość w ten sam sposób, w jaki odziedziczyła pojęcia »dobry i zły« po szlachcie rodowej (wraz z jej psychologiczną zasadniczą skłonnością porządkowania wedle stopni), otrzymała wraz z dziedzictwem bóstw rodowych i szczepowych także dziedzictwo ucisku niespłaconych jeszcze długów i pragnienie wywiązania się z nich. (Przejście tworzą owe liczne ludy niewolników i poddanych, które przystosowały się do boskiego kultu swych panów, czy to pod przymusem, czy przez uległość i *mimicry*. Od nich później przelewa się to dziedzictwo na wszystkie strony). Uczucie dłużnicze względem Boga nie przestało wzrastać przez kilka tysiącoleci i to ustawicznie w tym samym stosunku, w jakim pojęcie i poczucie boga rosło na ziemi i wznosiło się w górę. (Całe dzieje walk etnicznych, zwycięstw, zawierania pokoju, stapiania się, wszystko, co poprzedza w każdej wielkiej syntezie ras ostateczne ustąpienie wszystkich elementów ludowych, odzwierciedla się w genealogicznej gmatwaninie jej bogów, w podaniach o ich walkach, zwycięstwach i pojednaniach; postęp ku państwu uniwersalnym jest zawsze także postępem ku uniwersalnym bóstwom, despotyzm z swym pogwałceniem niezależnej szlachty toruje też zawsze drogę jakiemuś monoteizmowi). Zjawieniu się chrześcijańskiego Boga, jako największego Boga, jakiego dotąd osiągnięto, towarzyszyło też na ziemi *maximum* poczucia długu. Przypuściwszy, żeśmy właśnie rozpoczęli ruch o d w r o t n y, to możnaby też z prawdopodobieństwem wcale nie małym wnosić z niepowstrzymanego upadku wiary w chrześcijańskiego Boga, że teraz już spełnia się także zasługujący na uwagę upadek ludzkiej świadomości długu; ba, nie można odrzucać widoków, iż zupełne i ostateczne zwycięstwo ateizmu mogłoby zgoła uwolnić ludzkość od tego uczucia, że posiada dług wobec swego początku, swej *causa*

prima. Ateizm i pewien rodzaj w t ó r e j n i e w i n n o ś c i idą z sobą w parze.

21.

Tyle tymczasem w krótkości i zgrubsza o związku pojęć »długu«, »obowiązku« z założeniami religijnymi. Umyślnie pozostawiłem dotąd na uboczu właściwe umoralnienie tych pojęć (wtłoczenie ich w dziedzinę sumienia, jeszcze dokładniej, poplątanie nieczystego sumienia z pojęciem boga) i mówiłem nawet na końcu poprzedniego rozdziału, jak gdyby owo umoralnienie wcale nie istniało, stąd też, jakoby pojęcia te z konieczności miały się już ku końcowi, skoro upadło ich założenie, wiara w naszego »wierzyciela«, w Boga. Istotny stan rzeczy różni się od tego w sposób straszliwy. Umoralnienie pojęć długu i obowiązku, wtłoczenie ich w n i e c z y s t e sumienie daje właściwie próbę o d w r ó c e n i a kierunku opisanego dopiero co rozwoju, przynajmniej zastanowienia jego ruchu: teraz p o w i n n y właśnie widoki ostatecznego wywiązania się zniknąć pesymistycznie raz na zawsze, teraz spojrzenie p o w i n n o beznadziejnie odbić się od spizowej niemożliwości, cofnąć się, teraz p o w i n n y pojęcia »długu« i »obowiązku« zwrócić się wstecz – przeciw k o m u jednak? Nie można wątpić: najpierw przeciw »dłużnikowi«, w którym obecnie nieczyste sumienie tak się zagnieżdża, wżera, rozpiera i na kształt polipa wszere i głąb rośnie, aż wkońcu z niemożności wywiązania się z długu powstaje koncepcja niemożności wywiązania się z pokuty, myśl o jej nieodpłacalności (o »karze w i e c z n e j«) -; wkońcu jednak nawet przeciw wierzycielowi. Przypomnijmy sobie o *causa prima* człowieka, o początku rodzaju ludzkiego, o jego praojcu, który dotąd obciążony jest klątwą (»Adam«, »grzech pierworodny«, »niewolność woli«), lub o naturze, z której łona człowiek powstaje i w którą obecnie wkłada się zły pierwiastek (»udyablenie przyrody«), lub o istnieniu wogóle, które pozostaje jako »n i c w a r t o s a m o w s o b i e« (nihilistyczne odwrócenie się od niego, pożądanie nicości lub

pożądanie jego »przeciwieństwa«, innego istnienia, buddyzm i rzeczy pokrewne) - aż naraz znajdujemy się przed paradoksalnym i przerażającym wybiegiem, w którym znękana ludzkość czasową znalazła ulgę, przed genialnym figlem c h r z e ś c i j a ń s t w a: Bóg ofiaruje samego siebie za dług człowieka, Bóg samym sobą płaci samemu sobie, Bóg tym jedynym, który może wyzwolić człowieka, od czegooby on sam nigdy wyzwolić się nie mógł. Dłużnik ofiaruje się za swego wierzyciela, z m i ł o ś c i (mamyż w to wierzyć? -), z miłości dla swego dłużnika!...

22.

Już prawie da się zgadnąć, c o się przy tem wszystkim i p o d tem wszystkim działo. Widzimy ową chęć samodręczenia, owo w głąb cofnięte okrucieństwo uwewnętrznionego, w siebie zapędzonego człowieka-zwierza, celem obłaskawienia »w państwo« i zamkniętego więźnia, który wynalazł nieczyste sumienie, by sobie ból zadawać, skoro n a t u r a l n e ujście tej chęci zadawania cierpienia zostało zatamowane. Ten człowiek z sumieniem nieczystym owładnął założeniem religijnym, by swoją samoudrękę doprowadzić do najokropniejszej srogości i surowości. Wina przeciw B o g u!... Ta myśl staje się dlań narzędziem tortury. Ujmuje w »Bogu« krańcowe przeciwieństwa, jakie dla swych właściwych i nieodłącznych instynktów zwierzęcych mógł wynaleźć, przeinacza te instynkty zwierzęce w winę przeciw Bogu (jako wrogość, opór, bunt przeciw »panu«, »ojcu«, źródłu i początkowi świata), wpręga się w sprzeczność »Boga« i »dyabła«, wyrzuca z siebie wszelkie zaprzeczenie siebie samego, natury, naturalności, faktycznej swej istoty, jako potwierdzenie, jako byt, cielesność, rzeczywistość, jako Boga, jako świętość Boga, jako sędziostwo Boga, jako katostwo Boga, jako zaświat, jako wieczność, jako katuszę bez końca, jako piekło, jako niezmierność kary i winy. Jest w tem okrucieństwie duchowem rodzaj szaleństwa woli, nie mającego bezwzględnie nic sobie

równego: w o l a człowieka uważania siebie za winnego i godnego potępienia aż do niemożliwości pokuty; jego wola c z u ć się skarany, bez nadziei, że kara winę zrównoważyć może; jego w o l a, by najgłębsze dno rzeczy zarazić i zatruć problematem kary i winy, by raz na zawsze odciąć sobie odwrót z tego labiryntu -»*idee fixe*« jego wola wzniesienia ideału - ideału »świętego Boga« - by w obliczności jego być dotykalnie pewnym swej bezwzględnej niegodności! Och, to szalone, smutne zwierzę człowiecze! Jakież nachodzą je pomysły, jakież pogwałcenia natury, jakież paroksyzmy głupstwa, jakież b e s t y a l s t w o i d e i wystrzela natychmiast, skoro tylko przeszkodzi się mu być b e s t y ą w c z y n i e!... Wszystko to jest aż nadmiernie zajmujące, lecz także pełne czarnego, posępnego, denerwującego smutku, że trzeba przemocą bronić się zbyt długiemu patrzeniu w te bezdnie. Tkwi tu c h o r o b a, nie ulega wątpliwości, najstraszniejsza choroba, jaka dotychczas w człowieku szalała: - a kto jeszcze usłyszeć zdołał (lecz dziś nie ma się już uszu na to! -), jak wśród tej nocy katuszy i niedorzeczności brzmiał krzyk m i ł o ś c i, krzyk tęskniącego zachwyty, wybawienia w m i ł o ś c i, ten odwróci się, przejęty niezwyciężoną grozą... W człowieku jest tyle przerażającego!... Ziemia za długo już była domem waryatów!...

23.

Niech to wystarczy raz na zawsze odnośnie do pochodzenia »świętego Boga«. - Że pojęcie bogów s a m o w s o b i e nie koniecznie prowadzi do tego pogorszenia fantazyi, którego uprzytomnienia ani na chwilę nie wolno nam było sobie oszczędzić; że istnieją d o s t o j n i e j s z e sposoby posługiwania się zmyśleniem bogów, niż samokrzyżowanie i samohańbienie człowieka, w czym ostatnie stulecia Europy doszły do mistrzostwa, - to daje się na szczęście wysnuć z każdego spojrzenia, rzuconego na b o g ó w g r e c k i c h, na te odzwierciedlenia ludzi dostojnych i wielmożnych, w których z w i e r z ę ludzkie czuło się ubóstwionem, n i e

rozdierało zaś samego siebie, nie wściekało się na siebie samo! Grecy posługiwali się przez najdłuższy okres czasu swoimi bogami, by właśnie zdaleka od siebie trzymać »nieczyste sumienie«, by móc cieszyć się z swej wolności duszy: więc w rozumieniu odwrotnym, niż chrześcijaństwo swego używało Boga. Posuwały się w tem bardzo daleko te przepyszne istoty o lwich sercach a głowach dzieci. I nie mniejszy autorytet jeno sam Zeus homerowski, daje im kiedy niekiedy do zrozumienia, że biorą to nazbyt lekce. »Dziwna! mówi on raz - chodzi o sprawę Egistosa, b a r d z o złą sprawę -

»Dziw, że tak bardzo śmiertelni skarżą się jednak

[na bogów!

Z ł o o d n a s t y l k o p o c h o d z i, sądzą; lecz

[sami ściągają

Na się nieszczęścia przez swój nierozum, wbrew

[przeznaczeniu...«

Jednak widzi się i słyszy zarazem, że i ten olimpijski widz i sędzia daleki jest od tego, by gniewać się na nich za to i źle myśleć o nich. »Jakże oni g ł u p i!« myśli, patrząc na występki śmiertelnych. »Głupstwo«, »brak rozumu«, nieco »zaburzenia w głowie«, to tylko p r z y p u s z c z a l i Grecy nawet najtęższych, najdzielniejszych czasów, jako powód wielu złego i fatalnego. Głupota, n i e grzech! Rozumiecie to?... Jednak nawet to zaburzenie w głowie było problematem. »Bo jakżeż to też możliwe? Skądby się wzięło w głowach, jakie m y mamy, my ludzie pochodzenia szlchetnego, szczęśliwi, pomyślnie udani, najlepszego towarzystwa, dostojni i cnotliwi?« - Tak pytał siebie przez stulecia dostojny Grek, w obliczu niezrozumiałej dla siebie zdrożności i występku, którymi splamił się ktoś z jemu równych. »Musiał go pewno b ó g dotknąć szaleństwem«, mówił sobie wkońcu, potrząsając głową... Ta konkluzja jest t y p o w o grecka... W ten sposób służyli wówczas bogowie jako usprawiedliwienie człowieka do pewnego stopnia nawet w lichem,

służyli jako przyczyna zła – wówczas brali na siebie nie karę, lecz, co jest d o s t o j n i e j, winę...

24.

- Kończę trzema znakami pytania, widać to dobrze. »Czy właściwie stawia się tu jakiś ideał, czy się go obala?« Takie spotka mnie może pytanie... Lecz czyście też siebie samych pytali dość, jak drogo opłaca się na ziemi wzniesienie k a ż d e g o ideału? Ile rzeczywistości trzeba było na to zawsze oczernić i niezrozumieć, ile kłamstw uświęcić, ile sumień zburzyć, ile z »boga« każdym razem w ofierze złożyć? By móc jakąś świętość wznieść, t r z e b a j a k ą ś ś w i ę t o ś ć z b u r z y ć: to jest prawo – pokażcie mi wypadek, w którymby się nie spełniło!... My, ludzie nowocześni, jesteśmy spadkobiercami wiwisekcji sumienia i samodręczenia się zwierząt od tysiącoleci: w tem mamy najdłuższe ćwiczenie, swój artyzm może, w każdym razie swe wyrafinowanie, swój smak zepsuty. Człowiek zbyt długo »złem spojrzeniem obserwował swe przyrodzone skłonności, tak że ostatecznie zawarły w nim siostrzany związek z »nieczystym sumieniem«. Usiłowanie odwrotne byłoby s a m o w s o b i e możliwe – lecz któż jest dość silny na to? -, to jest, by n i e n a t u r a l n e skłonności, wszystkie owe aspiracje do zaświata, do tego, co przeciwne zmysłom, instynktowi, naturze, zwierzęciu, krótko, dotychczasowe ideały, które wszystkie razem wrogie są życiu i oczerniają ziemię, połączyć z nieczystym sumieniem siostrzanym związkiem. Do kogo zwrócić się dziś z takimi nadziejami i wymaganiami?... Właśnie d o b r y c h ludzi miałyby się tem samem przeciw sobie; nadto, co słuszna, wygodnych, pojednanych, próżnych, marzycieli, znużonych... Cóż obraża głębiej, cóż rozdziela gruntowniej niż to, że się daje coś niecoś do poznania z surowości i wyżywności, z jaką traktuje się samego siebie? I znowu – jakże uprzedzającym, jakże uprzejmym dla nas okazuje się świat cały, skoro czynimy jak świat cały i folgujemy sobie jak cały świat!... Potrzebaby

do owego celu i n n e g o rodzaju duchów, niż te, które w tym właśnie możliwe są okresie: duchów, przez wojny i zwycięstwa wzmocnionych, którymi zdobywanie, przygoda, niebezpieczeństwo, ból nawet potrzebą się stały; trzebaby na to nawyknienia do ostrego wysokiego powietrza, do zimowych wędrówek, do lodu i gór w każdym znaczeniu, trzebaby na to pewnego rodzaju wzniosłej złości, ostatecznego najpewniejszego siebie zuchwalstwa poznania, które jest właściwe wszelkiemu zdrowiu, trzebaby, mówiąc krótko i dość źle, właśnie tego w i e l k i e g o z d r o w i a!... Lecz czyż to dziś, właśnie jest choćby tylko możliwe?... Lecz kiedyś, w czasach silniejszych, niż ta zbutwiała, samozwątpiała terażniejszość, musi nam się zjawić przecie ten w y z w a l a j ą c y człowiek wielkiej miłości i pogardy, duch twórczy, którego napór sił własnych ciągle wygania z wszelkich uboczy i zaświatów, którego samotności tłum nie rozumie, jak gdyby ona była ucieczką przed rzeczywistością; tymczasem jest ona tylko jego zanurzeniem się, zagrzebaniem, zagłębieniem w rzeczywistość, by stamtąd kiedyś, gdy znowu wróci na światło, mógł w y z w o l e n i e przynieść tej rzeczywistości: jej wyzwolenie od przekleństwa, którym obarczył ją dotychczasowy ideał. Ten człowiek przyszłości, który nas tak samo od dotychczasowego wyzwoli ideału, jak i od tego, c o z e ń w y r ó ś ć m u s i a ł o, od wielkiego wstrętu, od woli nicości, od nihilizmu, ten dzwon bijący południa i wielkiego rozstrzygnięcia, dzwon, który wolę znów wolną uczyni, który wróci ziemi jej cel, a człowiekowi jego nadzieję, ten antychryst i antynihilista, ten zwycięzca Boga i nicości – p r z y j ś ć k i e d y ś m u s i...

25.

Lecz cóż to prawie? Dość! Dość! W miejscu tem godzi mi się jedno tylko, milczeć: targam się bowiem na coś, co wolno jeno komuś młodszemu, komuś »bardziej przyszłemu«, silniejszemu, niż ja jestem,

- co wolno jedynie Z a r a t u s t r z e, Z a r a t u s t r z e b e z b o ż n
i k o w i...